

Jerzy Iwanowski

Witold Duński



Z córką Marią w Południowej Afryce dokąd rzuciły go wichry lat powojennych, w których walczył o Polskę od 1 września 1939 do 5 maja 1945 roku. Zaczynał w Polsce, kończył w Niemczech.

Jerzy Iwanowski, Kawaler Krzyża Walecznych. Hodowca. Żołnierz. Jeździec.

Urodził się 13 marca 1907 roku w rodzinnym majątku Lebiodka. Powiat Żołudek, gubernia grodzieńska. Zmarł 28 maja 2008 roku. Leży na cmentarzu w Gdańsku. Ojciec Tadeusz. Matka Maria z domu Wolska. Żona Teresa z domu Romer. Córka Maria. Absolwent Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie - hodowla Koni. Absolwent Szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu. Pułkownik Wojska Polskiego.

W lipcu 2003 roku w Warszawie pułkownik Jerzy Iwanowski, we wrześniu 1939 roku podporucznik 1 Pułku Ułanów Krechowieckich imienia pułkownika Bolesława Mościckiego, dowódca plutonu ciężkich karabinów maszynowych, w sierpniu 1944 roku rotmistrz 10 Pułku Strzelców Konnych, dowódca szwadronu czołgów, powiedział:

- W majątku mojego dziadka i ojca do pierwszego września 1939 roku hodowaliśmy konie, głównie dla wojska. Było w nich dużo koni pełnej krwi, sprowadzanych z Anglii. Moja ciotka, Helena Iwanowska-Skinderowa, na koniach pełnej krwi startowała w zawodach steeplowych. W Lebiodce było przeciętnie jedenaście klaczy matek, stał jeden ogier państwowy. Ogiery do krycia przychodziły ze stadnin państwowych w Berdówce i w Kozienicach.

Po ukończeniu trzech lat studiów medycznych w Warszawie, przerwałem je i poszedłem odsłużyć wojsko w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu. Kiedy pewnego dnia obudził mnie sygnał trąbki grającej pobudkę uznałem, że moje życie związę nie z chorymi ludźmi jako lekarz, ale z końmi. Najlepiej kawaleryjskimi. Pojechałem do Poznania i profesor, przyjaciel rodziny, powiedział, że armia będzie dla mnie dobra, jeśli będę jeźdźcem, startował w konkursach hipicznych, a jak nie, to szara służba, która urozmaicić może tylko wojna.

Poszedłem do Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Przez trzy lata pracowałem w Państwowym Stadzie Ogierów w Bogusławicach, w których była i stadnina, a całością kierował kawalerzysta i hodowca Tadeusz Nosarzewski, dyrektor. Byłem jego zastępcą.

W sierpniu 1939 roku zostałem powołany na ćwiczenia letnie w moim 1 Pułku Ułanów Krechowieckich stacjonujących w Augustowie. Po drodze wstąpiłem do Ministerstwa Rolnictwa. Mój szef, Witold Pruski, kierujący Wydziałem Chowu Koni, powiedział mi, że po powrocie z manewrów dostanę nominację na dyrektora Państwowego Stada Ogierów w Berdówce leżącej niedaleko od Lebidki, gdzieś pomiędzy Lidą a Wilnem. Z domu dostałem list z wiadomością, że pierwszego września 1939 roku wchodzę w posiadanie majątku mojego ojca. Same dobre wiadomości.

Dwudziestego siódmego sierpnia 1939 roku ogłoszono mobilizację. Do pułku napływają rezerwiści, rekruci. Pobieram ostrą amunicję do broni. Dwudziestego dziewiątego mobilizacja odwołana. Pierwszego września bomby niemieckie posypały się na nasze koszary. Wojna. Dla mnie trwała do piątego maja godziny ósmej 1945 roku.

W swojej pięknej książce Czasy mojego żyda, ułan, strzelec konny, jeździec, żołnierz 1 Dywizji Pancerniej generała Stanisława Maczka, pisarz Jerzy Iwanowski zameldował:

Wczesny ranek. Siedzę w moim pancernym wozie. Kłapa nad głową zamknięta. Patrzę na zegarek. Trzy minuty do ósmej. Strzały z dział i terkot karabinów maszynowych z prawa i lewa. Wziąłem do ręki mikrofon.

- Stasiu, przeżyliśmy wojnę.
- Jeszcze strzelają, panie rotmistrzu, spokojny głos Baryszewskiego.

Wskazówka na zegarku przesuwana się wolno. Coraz bliżej ósmej. Raptem cisza. Niesamowita cisza. Otwieram kłapę wozu. Wyprostowuję zbolaty grzbiet. Rozglądam się wokoło. Linia naszych cromwelli. Przede mną czołg dowódcy pułku. I znów ta cisza, nawet radio milczy. Z kępi krzaków za nami odzywa się melodyjny głos ptaka zbudzonego majowymi promieniami słońca. Powtarza tę samą strofkę raz po raz.

„Wojna skończona”.

Drogi wojny były długie, bolesne, ale i z błyskami ludzkiego szczęścia, jak dotarcie i wyzwolenie 17 kwietnia 1945 roku obozu w Niederlangen z żołnierzami Armii Krajowej, kobietami walczącymi w Powstaniu Warszawskim. Koniec wojennej drogi nie doprowadził rotmistrza Jerzego Iwanowskiego do Polski, za którą walczył.

W 1 Pułku Ułanów Krechowieckich, od Augustowa po rzeczkę Mień, gdzie 13 września w bezpośrednim starciu z nacierającymi piechurami niemieckimi został ranny. Najpierw miał pod sobą pięknego, ciemno gniadego konia Gwint. Zginął trzeciego dnia wojny. Przełożył siodło na innego, po zabitym ułanie. Szpital w Białowieży. Spotkanie z żoną Teresą. Powrót do rodzinnego domu. Odjazd pociągiem z Kowna do Rygi, dalej samolotem do Sztokholmu, przez Brukselę do Paryża. Znalazł się w nim z żoną 5 stycznia 1940 roku, 13 czerwca zameldował się w 4 Dywizji Piechoty, ale klęska Francji już się dokonała.

Z karabinem wziętym od francuskiego piechura odplynął 27 czerwca na statku Clan Fergusson do Liverpoolu w Anglii, teŝ z ŝoną, którą spotkał w obozie Czerwonego Krzyŝa pod Bordeaux. Po twardym szkoleniu w Szkocji i Anglii 28 czerwca 1944 roku powędrował po trapie na pokład statku Samyork, na którym, przy kominie siedział juŝ jego wódz, dowódca 1 Dywizji Pancерnej generał Stanisław Maczek z majorem Janem Maciejewskim, dowódcą 10 Pułku Strzelców Konnych jeŝdŝących jednak juŝ nie na koniach, a w czołgach Cromwell. Był to pułk rozpoznawczy dywizji, liczącej trzynaście tysięcy szeregowców, podoficerów i oficerów, cztery tysiące czterysta trzydzieści pojazdów mechanicznych, w tym trzysta osiemdziesiąt jeden czołgów.



Odznaka pułkowa 10 Pułku Strzelców Konnych 1 Dywizji Pancерnej generała Stanisława Maczka. Wojnę za Polskę we Wrześniu 1939 roku, porucznik Jerzy Iwanowski zaczynał w 1 Pułku Ulanów Krechowickich imienia pułkownika Bolesława Mościckiego. Od 18 sierpnia 1944 roku pod Falaise, w czołgu Sherman, rozbija niemieckie wozy pancerne, jako rotmistrz 10 Pułku Strzelców Konnych.

W Południowej Afryce pułkownik Jerzy Iwanowski i zespół jeŝdźców startujących w pokazach Hiszpańskiej Szkoły Jazdy.

Wielka bitwa pancerna dywizji, trwająca pod Falaise od 18 do 22 sierpnia, zakończyła się śmiercią trzystu dwudziestu pięciu ŝołnierzy, w tym dwudziestu jeden oficerów, tysiąc dwóch rannych, w tym trzydziestu pięciu oficerów, stu czteremnaście zaginionych. Rotmistrz Iwanowski zmagania w rejonie Chambois wspomina tak:

- Widziałem juŝ duŝo krwawych pobjowisk, ale to, co tam zobaczyłem sprawiło, ŝe wszystkie wcześniejsze obrazy zbladły... To pobjowisko ciągnęło się kilometrami... Czołgi, armaty, wozy i wszelkiego rodzaju sprzęt wojenny rozbity, spalony, przewrócony na ziemi zrytej gąsienicami czołgów. ŝołnierze skrwawieni i w przedziwnych pozycjach... Jeden obraz stanął w mojej pamięci jak czarna-biała fotografia. Dwa czołgi - amerykański sherman i niemiecka pantera. Jeden na wprost drugiego w odległości nie więcej niŝ dziesięć metrów. Oba spalone. Załoga pantery w nadludzkiem wysiłku

uniknięcia ognia wyskakiwała widać z wieżycy. Jeden na ziemi, spalony na węgiel, drugi na czołgu, na plecach, rozkrzyżowane nogi i ręce, też zwęglony. Z otwartej wieży wystaje do pół korpusu trzecia postać. Też zwęglony, ręce oparte na krawędzi wieżycy, zamarł w bezruchu....

Załoga shermana widocznie nie dała rady wyjść albo wcześniej została zabita. W pobliżu wóz taborowy. Koń widocznie trafiony stanął dęba i zwałił się na wóz. Jego błękitem zaciągnięte oczy patrzą w niebo. Poświęcony na ołtarzu ludzkich klótni.

Wsiadłem do wozu i mówię:

- Stasiu, jedziemy, uważaj, żebyś nie przejeżdżał po trupach.

Czołgi pancерnej dywizji toczyły się przez pola, lasy, miasta Francji, Belgii, Holandii. Stanęły na niemieckiej ziemi przed portem wojennym Wilhelmshaven, by przyjąć kapitulację, 6 maja 1945 - trzech krążowników, osiemnastu okrętów podwodnych, dwustu pięciu mniejszych okrętów, 94 dział fortecznych, 159 dział polowych i zmagazynowane zapasy żywności dla pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy na trzy miesiące walk.

Koniec wojny. Czas odpoczynku, ale nie czas lenistwa. Rotmistrz Iwanowski zostaje powołany do znoej pracy odszukiwania polskich koni wyprowadzonych z różnych stadnin i stad w Polsce przez Niemców. Wpływ na tę decyzję miał fakt ukończenia przez niego Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i to, że był zastępcą dyrektora Stada Ogierów w Bogusławicach. Otrzymał przydział do Polish 3 Remount Depot w Lauenburgu. Wyławiał polskie konie, Skarba, z włoskich Pilade. Na konkursach hipicznych spotykał się z majorem Michałem Gutowskim, współpracował z pułkownikiem Stefanem Zamoyskim, swoim szefem, transportował polskie konie z Niemiec, z Hamburga, do Gdańska. Z Gdańska zabrał swoją matkę na Zachód. Cieszył się nią, filologiem, historykiem, absolwentką Sorbony krótko. Chora na serce, zmarła w Niemczech, krótko po zamieszkaniu z synem. Jako przedwojenny jeździec startował na Niggrze, angloarabie polskiego pochodzenia, bardzo dobrym skoczku, którego kupił na własność. Polskie konie znalazły się w Polsce. Major Jerzy Iwanowski z nim na stałe nie wrócił. Nie chciał żyć w kraju rządzonym przez ludzi spełniających każde żądanie Związku Radzieckiego.

W maju 1948 roku z żoną Teresą i sześciolletnią córką Marysią odpłynął statkiem Cape Town Castle do Południowej Afryki, gdzie stworzył sobie nowy dom. Tworzenie go zaczął od pierwszej pracy zastępcy zarządcy stadniny, który szedł akurat na urlop. Właścicielem stadniny był Alan Robertson, prezes Związku Hodowli Koni Pełnej Krwi w Afryce Południowej. Stadnina znajdowała się w Karoona, płaskiej ziemi łąkającej zawsze wody. W Johannesburgu uczył jazdy konnej, był współwłaścicielem szkoły jazdy konnej, kupował i sprzedawał konie po to, by żyć.

Był jeźdźcem. Startował we wszystkich konkurencjach jeździeckich: Skokach przez Przeszkody, Ujeżdżeniu, Wszechstronnego Konkursu Konia Wierzchowego, wyścigach płotowych. Zwyciężał, przegrywał, gonił za zwycięstwami. Poruszał się w świecie koni, ludzi koni, zdobył w Południowej Afryce wielu przyjaciół żyjących tak jak on dla koni i z koni. Hodowca i jeździec major Jerzy Iwanowski wprowadził do Południowej Afryki Wiedeńską i Hiszpańską Szkołę Jazdy z jej pokazami, ujeżdżeniem, sztuką. Koniem, który odegrał wielką rolę, był Ippizaner Maestoso Erdem kupiony na farmie Maoi River u hrabiego Elmara, który wyprowadził swoje konie z Węgier, nim zdążyły je w 1944 roku zagarnąć czołwki Armii Radzieckiej. Hrabia Elmar z żoną Christal przez Niemcy dotarł do Południowej Afryki razem ze swoimi końmi. Jak dostał swojego lippizanera, Jerzy Iwanowski opisuje w książce Czasy mojego życia.

... poszliśmy obejrzeć w Maoi River te sławne lippizanery. Najpierw trzy ogiery, potem matki i przyszła kolej na przychowek. Gdy patrzyłem na te konie, stanął mi w pamięci obraz wspaniałego barokowego budynku i sali z galeriami w Wiedniu. A w nim kilkanaście białych jak śnieg ogierów wykonujących ruchy haute-ecole. Jak ja chciałbym czuć pod sobą takiego konia i wraz z nim przechodzić ze stępa

w galop i z galopu w piruet, pasage, piaffe i te ruchy ponad ziemią, courbette czy caprole... Moje marzenia przerwał głos Jankowicza.

- Którego chciałbyś wziąć?

- Każdego, ale niestety, nie mam pieniędzy, by go kupić.

- Słuchaj, zawrzemy umowę, że wybierzesz młodego ogiera, będziesz go utrzymywał, szkolił i jeździł na zawodach, ale koń będzie zarejestrowany na moje nazwisko. Wszystkie wygrane są twoje. Którego byś wybrał?

Porzuciłem fantazje, skupiłem się na tych kilku trzylatkach oprowadzanych przez czarnych chłopaków. Jeden od razu przykuł moją uwagę, miał ruch duży z łopatki i jakiś niespodziewany rytm i harmonię w ruchach.

Jerzy Iwanowski wyszkolił Maestoso Erdema, odnosił na nim sukcesy w pokazach, przeżył złamanie nogi przez konia w transporcie i cieszył się z uratowania mu życia, z pożytkiem dla hodowli.

Po burzliwym życiu sportowym w różnych stronach Południowej Afryki Iwanowscy osiedlili się w Natalu. Jerzy zajął się hodowlą koni pełnej krwi, stworzył narodowy Ośrodek Jazdy Konnej. Pewnego dnia pochował żonę, której serce nie wytrzymało ciśnienia i astmy. Córka Maria, zaczynająca jazdę konną na kucach w latach wojny w Szkocji, została znakomitą zawodniczką. Po wyjściu za mąż wyjechała do Francji, gdzie zajęła się hodowlą koni arabskich francuskich i koni pełnej krwi.

W swojej księdze życia, którą poświęcił dziewczynie, pielęgniarce w szpitalu w Białowieży w 1939 roku, dziewczynie, która nie pozwoliła, by podporucznikowi 1 Pułku Ułanów Krechowieckich obcięto dłoń przestrzeloną pociskiem z karabinu niemieckiego żołnierza i sama straciła życie oskarżona o to, że jest dywersantem niemieckim i w co nigdy nie uwierzył, Jerzy Iwanowski napisał:

- Siedząc na tym wybrzeżu Oceanu Indyjskiego na jednej z bazaltowych skał, patrzyłem na ocean, za mną rozciągała się zielona dżungla. Miałem czas myśleć, jak żyć w tym świecie z przyćmionym słońcem, zamglonymi twarzami ludzi....

Tragiczny wrzesień trzydziestego dziewiątego roku Szpital w Białowieży i ta młoda dziewczyna, która ocaliła moją prawą rękę. Zmieniła bieg mojego życia. Przedostanie się do wojska we Francji, żeby walczyć dalej. Wojna na Zachodzie z jej klęskami i całkowitym końcowym zwycięstwem.

Afryka, Kayalami, ten zespół koni i ludzi jednej myśli, żeby stworzyć choć mniejszy, skromniejszy obraz Hiszpańskiej Szkoły Jazdy.

Mountdragon... Miałem dobrych przyjaciół i wspaniałe konie. Życie było dobre dla mnie, pełne przygód, radości i koloru.

Noc się zbliża, nie widzę już białych plam moich psów na piasku. Ciemność okryła morze i ląd. Słyszę tylko odwieczny szum fal.

W lipcu 2003 roku w Warszawie Jerzy Iwanowski z bagażem dziewięćdziesięciu sześciu lat na wyprostowanych młodzieńczych plecach złożył wyznanie wiary:

- Kocham konie. Wszystkie. Ale może najbardziej te ambitne, najszybsze, pełnej krwi i te z krwią arabską, na których walczyłem o Polskę we wrześniu 1939 roku, który zniszczył mój świat i otworzył nowy świat w Południowej Afryce.